Testosterone rex: biologia, ideologia i pułapki płci

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Tekst stanowi wnikliwą analizę współczesnych sporów wokół płci biologicznej, odrzucając naiwne przekonanie o determinizmie genetycznym. Autorzy, opierając się na badaniach Cordelii Fine, dekonstruują mity dotyczące dymorfizmu płciowego oraz rzekomej „męskiej" i „żeńskiej" natury mózgu. Artykuł pokazuje, jak błędne interpretacje biologii są wykorzystywane do legitymizacji nierówności społecznych i ekonomicznych. Zamiast szukać wyjaśnień w sztywnej biologii, tekst wskazuje na znaczenie socjalizacji, plastyczności neuronalnej oraz wpływu kultury na kształtowanie się ról płciowych. To krytyczne spojrzenie na to, jak ideologia przenika do nauki, tworząc fałszywe hierarchie, które ograniczają potencjał jednostek w gospodarce i życiu codziennym.

This text provides a thorough analysis of contemporary debates surrounding biological sex, rejecting the naive belief in genetic determinism. Drawing on research by Cordelia Fine, the authors deconstruct myths surrounding sexual dimorphism and the supposed "male" and "female" nature of the brain. The article demonstrates how misinterpretations of biology are used to legitimize social and economic inequalities. Instead of seeking explanations in rigid biology, the text highlights the importance of socialization, neural plasticity, and the influence of culture on gender role formation. This critical look at how ideology permeates science, creating false hierarchies that limit individuals' potential in the economy and everyday life.

Współczesna debata o płci przestała być sporem o fakty biologiczne, stając się areną walki o władzę i kształt struktury społecznej. Cordelia Fine w swojej analizie „Testosterone Rex" demaskuje mechanizm „biologicznego determinizmu", w którym narządy rozrodcze i hormony są instrumentalnie wykorzystywane do legitymizacji nierówności ekonomicznych i społecznych. Autorka udowadnia, że między anatomią a

psychologią nie istnieje prosty most przyczynowy; zamiast tego mamy do czynienia z niezwykle plastycznym układem rozwojowym, kształtowanym przez kulturę, instytucje i rynkowe bodźce. Fine obnaża mit „męskiego hormonu giełdy" oraz inne esencjalistyczne uproszczenia, wskazując, że z różnic anatomicznych nie wolno wyprowadzać metafizycznego proroctwa o dwóch odrębnych naturach ludzkich. Artykuł analizuje, jak współczesne systemy polityczne i korporacyjne używają biologii jako „taniego alibi" dla własnych błędów strukturalnych. W obliczu cyfryzacji i automatyzacji stereotypów, demitologizacja biologii staje się kluczowym zadaniem dla zachowania rzetelnej nauki oraz sprawiedliwego ustroju, w którym płeć przestaje być wyrokiem losu, a staje się polem do świadomego kształtowania instytucjonalnej odpowiedzialności za przyszłe pokolenia.

SŁOWA KLUCZOWE

Testosterone rex | biologia | ideologia płci | dymorfizm płciowy | biologiczny determinizm | Cordelia Fine | socjalizacja | nierówności społeczne | hipoteza podobieństw płci | mozaika cech mózgu | dobór płciowy | przemysł luksusowy | ekonomia polityczna | stereotypy płciowe | plastyczność neuronalna

Spór o płeć: ideologia wypiera biologię

Współczesny spór o płeć biologiczną dawno przestał być jałową dyskusją o tym, czy ludzkie ciała w ogóle istnieją. Taka debata byłaby zbyt łatwa, wręcz szkolna, godna epoki naiwnie wierzącej, że pojęcia służą wyłącznie do niewinnego opisu rzeczywistości, a nie do organizowania twardych hierarchii. Dzisiejszy konflikt rozgrywa się bowiem na zupełnie innym, znacznie bardziej grząskim terytorium. Idzie o to, czy z banalnego faktu reprodukcyjnego dymorfizmu wolno nam wyprowadzać metafizykę dwóch odrębnych natur psychicznych, dwóch przeznaczeń społecznych i dwóch ekonomicznych losów ukrytych pod jedną konstytucją.

Cordelia Fine odpowiada na to pytanie stanowczo przecząco, przez co jej książka pozostaje tak boleśnie drażniąca dla wszystkich, którzy chcieliby uczynić z biologii elegancko oprawioną wymówkę. Jej zasadnicza intuicja wcale nie neguje nauki, lecz po prostu odmawia jej prawa do tyranii interpretacyjnej nad ludzkim życiem. Między posiadaniem określonego układu rozrodczego

a byciem rzekomo „naturalnie” skłonnym do dominacji, ryzyka czy uległości nie rozciąga się żaden prosty most przyczynowy. Zamiast niego znajdujemy tam gęstą, wielopiętrową infrastrukturę rozwoju, socjalizacji, instytucji, rynkowych bodźców i symbolicznych oczekiwań. To właśnie ten skomplikowany układ, a nie mitologiczny hormon w koronie, stanowi właściwy przedmiot rzetelnej analizy naukowej.

Najpierw trzeba jednak bezwzględnie uporządkować pojęcia, albowiem bez tej operacji cała debata błyskawicznie zamienia się w hałaśliwe targowisko intuicji. Płeć biologiczna w sensie ścisłym odnosi się wyłącznie do organizacji reprodukcyjnej gatunku, a zatem do prozaicznego układu gamet, gonad, chromosomów i narządów płciowych. W przypadku ludzi w przeważającej większości mamy do czynienia z wyraźnymi kategoriami reprodukcyjnymi, niemniej z tego faktu nie wynika jeszcze, że układ nerwowy czy preferencje zawodowe są zapisane w formie dwóch czystych pakietów egzystencjalnych. W tym właśnie miejscu zaczyna się intelektualne nadużycie, które z powodzeniem można nazwać galopującą inflacją biologii. Zamiast chłodnego opisu natury otrzymujemy ideologiczną nadbudowę udającą twardą, obiektywną wiedzę.

Z różnicy anatomicznej czyni się bowiem totalną teorię społeczeństwa. Z gonad robi się proroctwo, a z chromosomu wykuwa się gotowy kodeks rynku pracy, nienaruszalny porządek rodzinny i ostateczną legitymizację nierówności. W tej pokrętnej logice anatomia staje się wyrocznią, która z góry determinuje nasze miejsce w kapitalistycznej machinie. Cordelia Fine ten fałszywy ruch precyzyjnie rozcina, obnażając jego polityczne, a nie laboratoryjne fundamenty. Autorka dobitnie pokazuje, że narządy rozrodcze są wprawdzie kluczowe dla przetrwania gatunku, lecz w żadnym wypadku nie stanowią darmowego paszportu do esencjalistycznej psychologii.

Inflacja biologii: narzędzie kontroli społecznej

To rozróżnienie ma fundamentalne znaczenie z perspektywy prawnej i instytucjonalnej, ponieważ w świecie polityki publicznej nieustannie mieszamy chłodną biologię, statystyczne średnie oraz normatywną sieć społecznych oczekiwań. Kiedy ktoś autorytarnie stwierdza, że kobiety z natury gorzej radzą sobie na giełdzie, a mężczyźni z racji genów nie nadają się do opieki nad dziećmi, popełnia klasyczny błąd kategoryczny. Z pawia robi się wtedy maklera, z plemnika prezesa, a z gamety ustawę kadrową. Taka intelektualna pomyłka rzadko bywa niewinna, wszak działa jak doskonale zakamuflowana technologia władzy, pozwalająca sprytnie ukryć historyczne nierówności pod wygodnym płaszczykiem ewolucyjnego przeznaczenia. W ten sposób arbitralna hierarchia społeczna, zamiast podlegać krytycznej ocenie, zostaje magicznie przeobrażona w rzekomo niepodważalny, naturalny porządek rzeczy.

Tytułowy „Testosterone Rex” okazuje się zatem figurą znacznie bardziej ideologiczną niż czysto endokrynologiczną, choć sam hormon bezsprzecznie istnieje i bierze aktywny udział w regulacji skomplikowanych procesów fizjologicznych. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zamierza wyrzucać go za drzwi poważnego laboratorium, niemniej współczesna popkultura oraz tania publicystyka uczyniły z niego absolutnego cesarza szkodliwych uproszczeń. Zamiast mediatora biologicznego otrzymaliśmy monarchę sensu. Dzisiejsze przeglądy badań naukowych malują bowiem obraz dalece bardziej zniuansowany, w którym testosteron owszem, wiąże się z rywalizacją czy rodzicielstwem, ale reaguje na bodźce w sposób wysoce kontekstowy. Nie obserwujemy tu jednostronnego, wojskowego rozkazu wydawanego tkankom przez gruczoł, lecz raczej dynamiczne, nieustanne negocjacje między żywym organizmem, konkretną sytuacją i naszą interpretacją rzeczywistości.

Dlatego właśnie błyskotliwe hasło Cordelii Fine, głoszące, iż to zdarzenia społeczne bezpośrednio regulują nasze gonady, trafia w samo sedno tego fascynującego i wielowarstwowego problemu. Choć dla twardych biologicznych redukcjonistów brzmi to jak czysta herezja, zależność między chemią organizmu a codziennym zachowaniem jest zawsze obustronna i niezwykle elastyczna. Już klasyczne badania nad rybami z rodzaju Haplochromis udowodniły, że to awans w hierarchii wywołuje lawinowe zmiany na osi hormonalnej, a ludzkie przejście do ojcostwa w pełni potwierdza ten sam mechanizm fizycznej przebudowy. Biologia nie siedzi samotnie na tronie, dyktując nam los z wysokości podwzgórza, toteż z gonad nie należy robić proroctwa. Nasz organizm z ogromną uwagą nieustannie nasłuchuje świata, a ta niezwykła plastyczność ostatecznie grzebie wygodny mit o niezmiennej, drapieżnej męskiej naturze.

Plastyczność mózgu: biologiczne fakty o płci

Z punktu widzenia ekonomii politycznej wnioski te mają siłę wręcz wybuchową, obnażając całkowitą intelektualną mizerię bajki o „męskim hormonie giełdy”. Cordelia Fine uderza tu z precyzją doświadczonego chirurga, kiedy bezlitośnie rozbiera mit „Sióstr Lehman”, czyli popularny po 2008 roku pogląd, że sfeminizowana Wall Street uniknęłaby kryzysu dzięki wrodzonej kobiecej ostrożności. Teza ta na pierwszy rzut oka wydaje się prokobieca, ale w istocie jest bliźniaczką starego, zatęchłego seksizmu, któremu po prostu założono modniejsze okulary i nadano pozory naukowej obiektywności. Z pawia robi się wtedy maklera, z plemnika prezesa, a z gamety ustawę kadrową, naiwnie zakładając istnienie dwóch ontologicznie odrębnych natur ekonomicznych. Kobiety mają potulnie sprzątać po męskim kapitalizmie niczym instytucjonalne matki, podczas gdy mężczyźni zachowują wygodny monopol na ekspansję, innowację i brutalny wzrost. To nie jest żadna systemowa emancypacja, lecz zwykły paternalizm przeliczony po aktualnym kursie rynkowego marketingu.

Współczesna literatura naukowa dotycząca ryzyka nie daje zresztą najmniejszych podstaw do snucia tak prostackich esencjalizmów, co dobitnie udowadnia klasyczna hipoteza podobieństw płci sformułowana przez Janet Hyde. Wskazuje ona jednoznacznie, że w większości zmiennych psychologicznych różnice są absolutnie marginalne, a rozkłady wyników tworzą raczej wspólny, głęboki ocean niż dwa oddzielne, odizolowane kontynenty. Równocześnie nowsze, zaawansowane analizy coraz częściej przesuwają ciężar pytania z poziomu „czy istnieje różnica" na znacznie ciekawszy poziom „kiedy i pod wpływem jakich moderatorów ona rośnie, maleje albo całkowicie znika". To niezwykle ważne przesunięcie epistemiczne oznacza, że dojrzalsza badawczo psychologia przestaje wreszcie polować na metafizyczny rdzeń płci, a zaczyna chłodno analizować warunki uruchamiania określonych zachowań. Świetnie obrazuje to głośne badanie z 2023 roku, w którym aktywizacja stereotypowo męskiej roli zawodowej drastycznie zwiększała skłonność do ryzyka finansowego zarówno u mężczyzn, jak i u badanych kobiet. Nie płeć działała tu jak nieuchronny los biologiczny, lecz sytuacyjnie aktywowana rama społeczna, co czyni koncepcję „Testosterone Rex" niezwykle trafnym i potrzebnym aktem naukowej demitologizacji.

Jeszcze bardziej drażliwy, a zarazem fascynujący, okazuje się współczesny spór o ludzki mózg, w którym publiczność wprost uwielbia uproszczone opowieści dające natychmiastowy komfort ontologiczny. Kiedy otaczający świat wydaje się niepokojąco płynny i pozbawiony reguł, zagubiony człowiek szuka twardego porządku chociażby we własnej czaszce, co stanowi doskonały fundament dla biologicznego determinizmu. To najstarszy trik dominacji: najpierw stwórz hierarchię, potem ogłoś, że była od zawsze, a wreszcie nazwij ją twardą biologią. Tymczasem wpływowe prace zespołu badawczego Daphny Joel bezlitośnie zburzyły ten sztuczny spokój, udowadniając, że ludzki mózg nie rozpada się na dwie czyste klasy, lecz tworzy skomplikowane, wysoce mieszane mozaiki cech. Choć te rewolucyjne tezy wywołały intensywną debatę metodologiczną, najnowsze rygorystyczne przeglądy potwierdzają, że wiele deklarowanych różnic znika po rzetelnej kontroli takich zmiennych jak całkowita objętość mózgu. Krótko mówiąc, pewne różnice anatomiczne oczywiście istnieją, ale w żadnym wypadku nie czynią one z ludzkiego mózgu uniwersalnego paszportu do taniej metafizyki płci.

W tym miejscu warto postawić prowokacyjne, lecz absolutnie konieczne pytanie o to, dlaczego opinia publiczna tak łapczywie konsumuje doniesienia o różnicach, całkowicie ignorując skalę nakładania się rozkładów czy fascynującą plastyczność neuronalną. Odpowiedź na ten dylemat jest niestety brutalna: wyrazista różnica sprzedaje się nieporównywalnie lepiej niż skomplikowana wariancja, a prosty stereotyp zawsze wygrywa z nudnym rozkładem statystycznym. Współczesne media i korporacyjna kultura organizacyjna zdecydowanie wolą chwytliwą metaforę niż rzetelną statystykę, ponieważ to właśnie ona generuje realne zyski i przyciąga uwagę. Hasło „Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus" to idealny, gotowy slogan do szkolenia sprzedażowego, podczas gdy

zdanie o „mozaikowym charakterze konfiguracji cech” po prostu nie nadaje się na biurowy kubek. Nauka przegrywa z popkulturowym banałem wcale nie dlatego, że jest od niego słabsza czy gorzej udokumentowana, lecz wyłącznie dlatego, że pozostaje bezkompromisowo uczciwsza wobec złożoności świata. Cordelia Fine rozumie ten rynkowy mechanizm doskonale i właśnie dlatego walczy nie tylko z samymi mitami, ale też z potężnym przemysłem, który je nieustannie napędza.

Mit Sióstr Lehman: pułapka dla emancypacji

Stąd już tylko krok do ewolucji i kolejnego wielkiego mitu, który Cordelia Fine rozszarpuje z niemal zoologiczną satysfakcją. Chodzi mianowicie o klasyczny, szkolny obraz doboru płciowego, ufundowany na pracach Batemana. Zgodnie z tym dogmatem samce muszą być z definicji rozwiązłe, niecierpliwe i agresywne, ponieważ ich gamety są ewolucyjnie „tanie”, podczas gdy samice pozostają powściągliwe i selektywne, wszak ich inwestycja reprodukcyjna jest wyższa. Oczywiście teoria doboru płciowego Darwina to wciąż fundament biologii, a różnice w kosztach produkcji komórek rozrodczych są absolutnie realne. Problem polega jednak na tym, że przez dekady z tej trafnej ramy teoretycznej wyprowadzano wnioski boleśnie uproszczone, jednokierunkowe i skrajnie męskocentryczne. Tymczasem współczesne reanalizy oraz krytyki metodologiczne bezlitośnie dowodzą, iż samice wielu gatunków nie są ani uroczo bierne, ani seksualnie nieaktywne, ani tym bardziej wolne od brutalnej konkurencji.

Recepcja tej rewizji we współczesnym paradygmacie naukowym nie polega bynajmniej na infantylnym geście wyrzucania klasyków do kosza, lecz na znacznie dojrzalszym, analitycznym zabiegu. Dzisiejsza biologia ewolucyjna woli pytać o zmienność ekologii kojarzenia, realne koszty reprodukcji ponoszone przez obie strony, ukrytą konkurencję samic czy wreszcie wpływ środowiska na strategie rozrodcze. Nauka odchodzi od teatralnego przeciwstawienia aktywnego zdobywcy i biernej księżniczki, przechodząc ku modelom wysoce warunkowym, relacyjnym i wolnym od ideologii. Fine nie walczy zatem z samą ewolucją, choć jej krytycy często próbują to insynuować, lecz wypowiada wojnę tandetnemu importowi biologii do obszaru publicznych stereotypów. Taka operacja nie ma nic wspólnego z rzetelną nauką, stanowiąc jedynie zręczną metaforę przebraną za ostateczny wyrok natury.

Z perspektywy antropologicznej i kulturoznawczej siła tej krytyki uderza ze zdwojoną mocą. Ludzka seksualność nie pełni bowiem wyłącznie funkcji reprodukcyjnej, jak chcieliby tego domorośli darwiniści, ślepo zapatrzeni w tabele przetrwania. Służy ona równie mocno budowaniu więzi, redukcji napięć, negocjowaniu statusu, a także konstruowaniu głębokiej intymności i tożsamości. Właśnie dlatego mechaniczne przenoszenie modeli zwierzęcych na skomplikowane relacje ludzkie

bywa tak łatwe retorycznie, a jednocześnie tak dramatycznie słabe poznawczo. Człowiek nie jest pawiem w drogim garniturze, choć znaczna część współczesnego przemysłu luksusowego desperacko próbuje nam to udowodnić. Mężczyzna kupujący sportowy samochód wcale nie musi być bezwolnym wykonawcą prehistorycznego skryptu godowego, toteż kobieta unikająca ryzyka nie jest ekspresją pradawnej ostrożności.

Oba te zachowania kształtuje raczej kultura klasy, lokalny rynek prestiżu, skomplikowany system nagród społecznych, pamięć biograficzna czy wreszcie instytucjonalna dystrybucja kosztów porażki. Kiedy wygodnie ignorujemy te wszystkie czynniki, ewolucja staje się po prostu tanim alibi dla intelektualnego lenistwa i zachowania status quo. To najstarszy trik dominacji. Najpierw stwórz hierarchię. Potem ogłoś, że była od zawsze. Wreszcie nazwij ją biologią.

Dzieci jako detektywi: wczesna kategoryzacja płci

Z tego powodu najważniejsza teza Fine wykracza poza laboratoria, uderzając wprost w fundamenty ustroju. Przyszłość społeczna nie zależy od tego, czy wyizolujemy wreszcie mityczną naturę płci, ponieważ taki projekt zakłada, że instytucje mają jedynie odczytać gotowy kod. Tymczasem właściwe pytanie brzmi: jaki „układ rozwojowy", czyli środowisko kształtujące społeczną osobę, wspólnie budujemy? Obejmuje on wszak normy, rynek zabawek, architekturę pracy, politykę urlopową i semantykę żartów. Kiedy Fine wzywa do przebudowy tego układu, nie proponuje taniej kosmetyki, lecz radykalny demontaż infrastruktury reprodukującej nierówności.

Na tym tle spór o zabawki czy kolory przestaje być błahostką, stając się twardym problemem politycznej ekonomii rozwoju. Jeżeli dzieci są „detektywami płci", to od kołyski śledzą skomplikowany system znaków, na podstawie którego społeczeństwo rozdziela prestiż, bezpieczeństwo i ambicje. Taka autosocjalizacja nie oznacza, że dziecko jest bierną ofiarą, lecz niezwykle aktywnym interpretatorem porządku symbolicznego. Dorośli traktują ten porządek jako niewidzialne tło, co doskonale maskuje realne mechanizmy władzy.

Gdy rynek, szkoła i rodzina z uporem oznaczają świat kodami płci, dziecko uczy się nie tylko estetycznych gustów. Uczy się przede wszystkim twardych granic swojego możliwego „ja", z których wyrastają później konkretne ścieżki edukacyjne i profile zawodowe. Kształtuje się w ten sposób drastycznie różny poziom samooceny, tolerancja wobec ryzyka reputacyjnego oraz gotowość do sięgania po władzę. Różowy dział w supermarkecie to zatem żaden niewinny detal handlowy, nad którym można przejść do porządku dziennego. To miniaturowa konstytucja naszych społecznych oczekiwań.

Dobór płciowy: rewizja teorii ewolucyjnej

Mit „Sióstr Lehman” zasługuje na bezlitosne potraktowanie, stanowi bowiem modelowy przykład tego, jak kultura kapitalizmu potrafi skleić progresywny ornament z reakcyjnym rusztowaniem. Po katastrofie z 2008 roku wielu chciało wierzyć, że świat finansów rozbił się dlatego, iż był nadmiernie męski, a więc testosteronowy i krótkowzroczny. W tej narracji kobieta pojawia się jako figura naturalnej ostrożności i sanacji. Brzmi to jak hołd, lecz w istocie jest tylko odwróconym stereotypem.

Dawny seksizm zakładał, że kobieta nie nadaje się do wielkich gier, bo jest zbyt emocjonalna. Nowy, pozornie oświecony seksizm głosi, że nadaje się do nich głównie wtedy, gdy ma moralnie amortyzować męskie ekscesy. W obu wersjach nie staje się ona pełnoprawnym podmiotem ryzyka, ekspansji i ambicji, lecz zaledwie funkcjonalnym dodatkiem do systemu. To właśnie Fine demaskuje z intelektualną satysfakcją. Jeśli kobiety miałyby uzyskać miejsce w gospodarce tylko dlatego, że wniosą „bezpieczniejszą naturę”, byłaby to jedynie subtelna mutacja patriarchatu.

Ekonomia zna tę figurę aż nazbyt dobrze; wszak systemy władzy chętnie wpuszczają grupy marginalizowane na pozycje odpowiedzialności wtedy, gdy trzeba nimi obciążyć funkcję naprawczą. W zarządzaniu opisuje się to poprzez pojęcie „szklanego klifu”, czyli praktykę nadawania kobietom władzy w momentach kryzysowych, gdy prawdopodobieństwo porażki jest wysokie. Wówczas mogą zostać przedstawione jako ratowniczki albo jako dowód na nierozsądność równości.

Fine trafnie zauważa, że opowieść o „Siostrach Lehman” uczestniczy dokładnie w tej samej logice. Kobieta ma w niej nie tyle współtworzyć architekturę instytucji, ile potulnie porządkować cudze ruiny. Staje się zatem symboliczną księgową po męskiej orgii ryzyka. Z całą pewnością nie jest to żadna wizja emancypacyjna. To wyłącznie konserwatywna fantazja o nieco bardziej eleganckiej służbie wobec nienaruszonego systemu.

Instytucje: mechanizmy utrwalania stereotypów

Kiedy schodzimy z poziomu poetyckich metafor do chłodnych arkuszy kalkulacyjnych, obraz płci traci swój romantyczny urok na rzecz naukowej precyzji. Hipoteza podobieństw płci, którą Janet Hyde oparła na przeglądzie czterdziestu sześciu metaanaliz, brutalnie obnaża nasze uprzedzenia, dowodząc, że kobiety i mężczyźni są do siebie uderzająco podobni w większości zmiennych psychologicznych. Tam, gdzie w ogóle notujemy różnice, ich skala bywa zazwyczaj umiarkowana lub wręcz marginalna, co nie oznacza, że żyjemy w świecie absolutnej identyczności. Oznacza to jednak coś fatalnego dla medialnych nagłówków: statystyczne różnice populacyjne nie dają nam

prawa do konstruowania dwóch odrębnych, esencjalnych natur psychicznych. Rozkłady cech potężnie się na siebie nakładają, przy czym znaczenie kontekstu społecznego bywa często silniejsze niż sama średnia różnica. W praktyce losowo wybrana kobieta i losowo wybrany mężczyzna okażą się do siebie znacznie bardziej podobni, niż zakłada to nasza stereotypowa wyobraźnia, co skutecznie podcina korzenie politycznych uzasadnień nierówności.

W świetle nowszych badań nad ryzykiem finansowym ta rzekoma przepaść między płciami kurczy się jeszcze bardziej, wywołując popłoch wśród tradycjonalistów. Szczególnie pouczające są wyniki eksperymentów dowodzących, że aktywizacja stereotypowo „męskiej" roli zawodowej natychmiast zwiększa skłonność do ryzyka finansowego zarówno u kobiet, jak i u mężczyzn. Nie obserwujemy tu bowiem prostego przełożenia biologicznej płci na konkretną decyzję ekonomiczną przy giełdowym terminalu, lecz raczej aktywację społecznej ramy, która niczym przełącznik uruchamia określony styl działania. Człowiek nie zachowuje się w biurowcu jak zautomatyzowany nośnik gamet, lecz jak wytrawny uczestnik skomplikowanej gry symbolicznej, instytucjonalnej i statusowej. Kiedy rynek wyraźnie komunikuje, że nagradza brawurę, wiele osób, niezależnie od płci, dostraja się do tego kodu, a gdy system premiuje rozwagę, zachowania płynnie przesuwają się w drugą stronę. Prawdziwym producentem ryzyka nie jest zatem żaden androgeniczny demon, lecz po prostu architektura bodźców; wszak bankowość inwestycyjna to nie gruczoł dokrewny, ale bezlitosny ustrój nagród.

To prowadzi nas do wniosku znacznie szerszego, ale absolutnie koniecznego dla zachowania intelektualnej higieny w debacie publicznej. Obciążanie testosteronu wyłączną odpowiedzialnością za globalne kryzysy finansowe jest poznawczo niezwykle wygodne, ponieważ cudownie odciąża pogłębioną analizę instytucjonalną. Hormon można obwinić tanio i szybko, podczas gdy znacznie trudniej oskarżyć patologiczny system wynagradzania, krótkoterminowe premie za wynik, deregulację czy kulturę organizacyjną nagradzającą ekspansję bez cienia odpowiedzialności. Fine w tym kontekście nie tylko punktuje uproszczoną psychologię płci, ale wręcz brawurowo odzyskuje dla nauk społecznych ich właściwy, zagrabiony przedmiot badań. Zamiast taniego, biologicznego teatru jednego hormonu, badaczka przywraca naszą uwagę na strukturę zachęt, koszty zewnętrzne oraz asymetrię między prywatnym zyskiem a społeczną stratą. To brzmi już nie jak ideologiczna wojna z biologią, lecz jak desperacka obrona elementarnej inteligencji ekonomicznej przed zalewem pseudonaukowych mitów.

Na tym tle sam testosteron, brutalnie odarty ze swojej koronacyjnej mitologii, staje się obiektem nieporównywalnie ciekawszym dla rzetelnej nauki. Współczesne przeglądy badań dowodzą, że owszem, wiąże się on z kojarzeniem i reakcjami społecznymi, niemniej zależności te są wybitnie niejednoznaczne, obustronne i potężnie zależne od kontekstu. Szeroki przegląd naukowy z 2024

roku dobitnie podkreśla, że relacja tego hormonu z zachowaniami opiekuńczymi w żadnym wypadku nie przypomina prostego, zero-jedynkowego algorytmu. Wcześniejsze badania longitudinalne nad ojcostwem pokazały wszak, że wejście w aktywną rolę ojca wiąże się u mężczyzn z wyraźnym, mierzalnym spadkiem poziomu testosteronu. To wyjątkowo kłopotliwy fakt dla domorosłych ewolucjonistów, którzy chcieliby widzieć w mężczyźnie istotę biologicznie skazaną na wieczną konkurencję, ponieważ ludzka fizjologia potrafi doskonale dostroić się do troski i budowania więzi. Innymi słowy, hormon wcale nie krzyczy do człowieka, że ma być bezwzględnym wilkiem, lecz raczej szepcze, iż świat się zmienił, toteż należy mądrze zoptymalizować swoje zasoby.

Właśnie w tym newralgicznym miejscu Fine wykonuje swój najważniejszy, iście szachowy ruch teoretyczny, który całkowicie zmienia układ sił w dyskusji. Badaczka w żadnym wypadku nie neguje samej biologii, lecz z całą mocą uderza w biologiczny absolutyzm, czyli naiwne przekonanie, że pojedynczy czynnik fizjologiczny posiada dyktatorską władzę nad naszym zachowaniem. Poważna nauka znacznie lepiej radzi sobie z modelem interakcyjnym, w którym hormony, środowisko, status społeczny i uczenie kulturowe pozostają w nierozerwalnym, dynamicznym splątaniu. Ten skomplikowany model jest z pewnością mniej widowiskowy dla mediów, ale za to nieporównywalnie bliższy prawdy, a przy tym nie zamyka drogi dla sensownej polityki publicznej. Jeśli bowiem ludzkie zachowanie jest plastyczne i współkształtowane przez otoczenie, to mądrze zaprojektowane instytucje mogą realnie zmieniać trajektorie naszego życia. Gdybyśmy natomiast byli tylko bezwolnymi niewolnikami twardej natury, wówczas prawo stałoby się jedynie bezradnym sekretariatem biologii, a wszelkie reformy społeczne czystą dekoracją.

Dlatego właśnie akademicki spór o architekturę ludzkiego mózgu jest tak potężnie naładowany politycznymi emocjami i wywołuje ostre reakcje obronne. Głośna teza o mózgu jako mozaice, brawurowo rozwinięta przez Daphnę Joel i jej współpracowników, wcale nie twierdzi, że różnice między płciami całkowicie wyparowały z radarów nauki. Twierdzi ona coś znacznie subtelniejszego, a dla konserwatywnej debaty publicznej wręcz destabilizującego: ludzkie umysły po prostu nie dają się upchnąć w dwa sterylnie czyste, przeciwstawne typy. Każdy mózg stanowi unikalną mieszaninę cech, z których jedne częściej widujemy u kobiet, inne u mężczyzn, a jeszcze inne pozostają całkowicie wspólne dla całej populacji. Choć w późniejszej recepcji tej pracy pojawiały się głosy krytyki metodologicznej, najnowsze badania potwierdzają, że deklarowane różnice są niezwykle czułe na metodę pomiaru i często znikają po uwzględnieniu całkowitej objętości mózgu. Neuronauka nie dostarcza dziś żadnego poważnego alibi dla ludowej metafizyki dwóch odmiennych umysłów, dając nam raczej obraz fascynująco złożony i głęboko zależny od kalibracji naszych narzędzi.

Z perspektywy filozofii nauki cała ta skomplikowana sprawa staje się jeszcze bardziej intrygująca i warta głębszej refleksji. Wielu odbiorców intuicyjnie zakłada, że samo odkrycie jakiejkolwiek różnicy biologicznej musi automatycznie pociągać za sobą doniosłość normatywną, co stanowi klasyczny błąd naturalistyczny w nowym garniturze. Z faktu, że jakaś cecha występuje statystycznie częściej w jednej grupie, w żaden logiczny sposób nie wynika, że wolno nam z niej rzeźbić twardą normę dla konkretnej jednostki. Prawo pracy, polityka edukacyjna czy praktyki rekrutacyjne operują wszak na żywych osobach, a nie na bezdusznych średnich populacyjnych, toteż istniejące różnice nie dają legitymacji do traktowania ludzi jako emanacji grupowej esencji. Fine błyszczy tu jako bezlitosna krytyczka złej inferencji publicznej, pokazując z chirurgiczną precyzją, jak łatwo przeskakujemy od biologii opisowej do groźnego, społecznego fatalizmu. To najstarszy trik dominacji: najpierw stwórz hierarchię, potem ogłoś, że była od zawsze, a wreszcie nazwij ją biologią.

Ta sama, chłodna analityczna ostrożność musi bezwzględnie dotyczyć ewolucyjnego doboru płciowego, który od lat rozpala wyobraźnię domorosłych psychologów. Współczesna literatura wcale nie wyrzuca do kosza klasycznej intuicji Batemana, głoszącej, że w wielu gatunkach presja selekcyjna bywa silniejsza po stronie samców, wręcz potwierdzając, że część tego paradygmatu zachowuje naukową moc. Zarazem jednak badacze równie głośno akcentują potężne zastrzeżenia metodologiczne wobec starych eksperymentów, wskazując na ryzyko sztucznego zawyżania gradientów oraz ogromną zmienność ekologicznych warunków rozmnażania. Dodatkowo w biologii lawinowo rośnie zainteresowanie aktywną rolą samic, zjawiskiem poliandrii czy brutalną konkurencją o zasoby i status po stronie matek. Współczesna nauka nie wydaje więc prostackiego werdyktu, lecz dostarcza obrazu teorii, którą trzeba pilnie odideologizować i czytać z uwzględnieniem tysiąca zmiennych środowiskowych. Fine ma absolutną rację, gdy kategorycznie sprzeciwia się prymitywnemu przekładaniu tej koncepcji na współczesną antropologię biurową, bo z pawia robi się wtedy maklera, z plemnika prezesa, a z gamety ustawę kadrową.

W tym właśnie kluczowym punkcie dotykamy absolutnego sedna jej myśli o naszej wspólnej, społecznej przyszłości i możliwościach jej kształtowania. Fine wcale nie proponuje nam infantylnego hasła głoszącego, że wszystko jest konstruktem, rozumianego jako radosna dowolność bez jakiegokolwiek oporu materii. Jej pozycja intelektualna jest znacznie bardziej wymagająca, zakłada bowiem, że biologia oczywiście istnieje i działa, ale nie jest zamkniętym, zabetonowanym na zawsze programem komputerowym. Człowiek to organizm wybitnie plastyczny, przy czym owa fascynująca plastyczność jest sama w sobie twardym faktem biologicznym, co całkowicie zmienia naszą poznawczą optykę. Nasza ewolucyjna przyszłość nie polega zatem na pokornym odgrywaniu scenariuszy rzekomo wyrytych w kamieniu w epoce plejstocenu, lecz na tym, że jako istoty kulturowe nieustannie współtworzymy środowiska rozwojowe. Przyszłość nie jest dla Fine biernym

skutkiem ewolucyjnej przeszłości, ale rozległym polem naszej instytucjonalnej odpowiedzialności za to, jakie społeczne nisze ostatecznie zbudujemy dla kolejnych pokoleń.

Algorytmy AI: cyfrowa automatyzacja stereotypów

Dlatego tak fascynująca okazuje się koncepcja dzieci jako przenikliwych „detektywów płci". Najmłodsi nie rodzą się wszak jako bierne nośniki esencji, lecz od początku funkcjonują jako niezwykle aktywni interpretatorzy wzorów społecznych. Błyskawicznie dekodują, które emocje są rynkowo premiowane, jakie ambicje uchodzą za opłacalne, a które formy władzy zyskują pełną akceptację. Ten nieustanny proces autosocjalizacji ma absolutnie fundamentalne znaczenie dla globalnej ekonomii talentu, przy czym gospodarki nie tracą potencjału przez niesprawiedliwy podział zdolności przez naturę. Tracą go z tego prozaicznego powodu, że system zbyt wcześnie i brutalnie segreguje dziecięcą wyobraźnię, normalizując chłopięcą ekspansję i estetyzując dziewczęce samoograniczenie. W tym ujęciu stereotyp przestaje być wyłącznie niewinnym błędem poznawczym, stając się po prostu niezwykle kosztowną instytucją gospodarczą.

Z punktu widzenia prawa i codziennego funkcjonowania państwa płynie stąd nader ostry, wręcz strukturalnie niewygodny wniosek. Jeżeli nierówności płci nie stanowią prostego skutku niezmiennej natury, to aparat państwowy nie może dłużej zasłaniać swojej bezczynności wygodnym biologicznym realizmem. Z różnicy anatomicznej czyni się bowiem totalną teorię społeczeństwa, co pozwala decydentom unikać trudnych interwencji w edukację, politykę rodzicielską czy projektowanie środowisk pracy. Prawo nie powinno oczywiście udawać neurologa, niemniej musi wreszcie zrozumieć, że neutralność formalna zazwyczaj reprodukuje nierówność materialną, jeśli operuje w świecie uprzednio zakażonym stereotypem. Ustrój, który dumnie głosi powszechną równość, a zarazem pozwala normom społecznym na wczesną segregację aspiracji, jest ustrojem w najlepszym razie połowicznie ślepym. Cordelia Fine dostarcza w tym miejscu potężnej amunicji nie tylko dla badaczy płci, lecz przede wszystkim dla twórców rozsądnej, nowoczesnej teorii państwa.

Trzeba wreszcie powiedzieć coś szalenie niewygodnego dla wyznawców politycznego centrum, których konformistyczna poprawność bywa w tej sprawie zwyczajnie intelektualnie leniwa. Nie wystarczy z mądrą miną ogłosić, że prawda leży pośrodku, bo w starciu archaicznego mitu z twardymi danymi o plastyczności mózgu zazwyczaj wcale tam nie leży. Z gonad robi się proroctwo, ignorując fakt, że po jednej stronie mamy starą metafizykę płci, a po drugiej nowoczesną naukę o nakładających się rozkładach. Oczywiście ignorowanie różnic fizjologicznych tam, gdzie mają one znaczenie, jest błędem, toteż Fine odmawia kapitulacji przed obiema skrajnościami, nie traktując biologii jako ostatecznego wyroku. Badaczka dobitnie przypomina światu, że z biologicznego

fundamentu nie wynika konstytucja, z poziomu hormonów nie wywodzi się etyka, a z przeciętnej różnicy statystycznej nie można wyczytać losu jednostki. To nie jest tani slogan aktywistyczny, lecz po prostu znacznie lepsza, rygorystyczna epistemologia, która odrzuca determinizm na rzecz naukowego realizmu.

Parlament Europejski: teatr ideologicznych sporów

Najbardziej profetyczny wymiar tej książki ukrywa się jednak gdzie indziej. W epoce algorytmów i zarządzania opartego na danych biologiczny esencjalizm może bowiem wrócić w cyfrowej zbroi. Nie będzie już prześnym obyczajem, lecz chłodnym systemem predykcyjnym, który z grupowych korelacji ulepi nasze profile ryzyka czy przywódczego potencjału. To byłby powrót „Testosterone Rex" w garniturze uczenia maszynowego, gdzie z gonad robi się proroctwo, a algorytmy bezlitośnie industrializują uprzedzenia. Dlatego obrona Fine ma dziś znaczenie podwójne, chroniąc nas przed automatyzacją stereotypu, który dawniej funkcjonował jako obiegowa opinia, a jutro wygeneruje bezduszny dashboard.

Z tego wywodu wyłania się mocna konkluzja, przypominająca, że choć płeć biologiczna pozostaje faktem reprodukcyjnym, nie wynika z tego politycznie niewinny obraz dwóch odrębnych natur. To najstarszy trik dominacji. Najpierw stwórz hierarchię, potem ogłoś, że była od zawsze, a wreszcie nazwij ją biologią. Fine na szczęście nie rozpuszcza rzeczywistości w dowolności, lecz robi coś znacznie trudniejszego, mianowicie przywraca nam miarę. Odbiera nauce fałszywy majestat ideologicznej wyroczni, wpisując ją z powrotem w świat złożonych sprzężeń zwrotnych.

Kiedy uczciwie wykonamy ten demitologizujący ruch, nasza społeczna przyszłość przestanie być zakładnikiem hormonalnego mitu. Stanie się za to konkretnym zadaniem ustrojowym, gospodarczym, edukacyjnym i moralnym. Hasło głoszące, że „Testosterone Rex wyginął", wcale nie oznacza bowiem końca rzetelnej nauki o ciele. Oznacza wyłącznie upadek leniwej teologii biologii, która przez dekady zwalniała nas z krytycznego myślenia. A to już nie jest tylko zmiana paradygmatu, lecz fundamentalna różnica cywilizacyjna.

Fakty kontra ideologia: demistyfikacja płci

Największą pokusą nowoczesności jest redukcja złożoności do chwytliwego sloganu, a spór o płeć stanowi dla tego procederu laboratorium doskonałe. W żadnym innym obszarze nie widać tak boleśnie, jak chętnie kultura publiczna porzuca wymagającą naukę na rzecz wygodnej metafizyki. Z jednej strony mamy fascynujący świat organizmów, hormonów, gamet, plastyczności neuronalnej i

ewolucyjnych nacisków selekcyjnych. Z drugiej stoi brutalna polityczna potrzeba szybkiej odpowiedzi na pytanie, kto i do czego został „naprawdę" stworzony. Pomiędzy nimi rozciąga się pustynia interpretacyjnych nadużyć, na której od dziesięcioleci rozbija namioty esencjalizm płci, czyli wiara w niezmienne, wrodzone cechy determinujące zachowanie kobiet i mężczyzn. Cordelia Fine weszła na tę jałową ziemię nie po to, by zanegować ciało, lecz by odebrać pustyni prawo do udawania geografii. Jej przedsięwzięcie pozostaje bezcenne, bo nie osuwa się ani w metafizykę woluntaryzmu, ani w antybiologiczną histerię. Jest to po prostu praca porządkująca. Przywraca ostre granice między tym, co wiadomo o reprodukcji, a tym, co zbyt łatwo dopisano do psychiki, rynku pracy i porządku instytucji.

Czas powiedzieć na głos rzecz dla wielu niewygodną. Znaczna część debaty o płci wcale nie jest wojną między obiektywną nauką a ideologią. Jest to starcie dwóch ideologii, z których jedna bardzo chętnie wypożycza z laboratorium biały fartuch. Kiedy ktoś ogłasza, że mężczyzna jest „z natury" predysponowany do rywalizacji, a kobieta „z natury" lepiej nadaje się do troski, nie opisuje neutralnie świata. Dokonuje normatywnego transferu z poziomu biologii reprodukcyjnej na poziom architektury społecznej. To najstarszy trik dominacji. Najpierw stwórz hierarchię. Potem ogłoś, że była od zawsze. Wreszcie nazwij ją biologią. Tymczasem to, co pokazują wpływowe prace ostatnich dekad, wygląda znacznie mniej teatralnie. Janet Hyde, syntetyzując dziesiątki metaanaliz, udowodniła, że kobiety i mężczyźni są podobni w większości zmiennych psychologicznych. Daphna Joel i współpracownicy wykazali z kolei, że ludzki mózg nie układa się w dwa czyste typy, lecz w skomplikowane mozaiki cech. Nawet gdy późniejsza debata krytykowała część ujęć, nie przywróciła prostego modelu dwóch esencjalnych umysłów. Współczesny paradygmat jest bardziej zniuansowany i ostrożny niż kultura masowa, wciąż żywiąca się bajką o Marsie i Wenus.

Ten naukowy niuans ma znaczenie fundamentalne dla nauk prawnych, ponieważ prawo działa na jednostkach, a nie na literacko opowiedzianych średnich populacyjnych. Każda dyskryminacja oparta na stereotypie zachodzi tam, gdzie z przeciętnej różnicy próbuje się uczynić normę dla konkretnej osoby. Kobieta aplikująca na stanowisko finansowe nie jest chodzącą średnią statystyczną. Mężczyzna składający wniosek o urlop opiekuńczy nie jest delegatem mitu hormonalnego. Nowoczesne państwo prawa musi zatem z zasady nie ufać teoriom, które z biologii wyprowadzają sztywny rozdział ról i kompetencji. Nie dlatego, że biologia jest nieistotna, lecz dlatego, że jej społeczna translacja bywa obciążona błędem naturalistycznym. Błąd ten, czyli nieuprawnione przejście od tego, co jest, do tego, co rzekomo powinno urządzać porządek instytucji, skutecznie zatruwa debatę. Fine jest w tym sensie nie tylko autorką interwencji w psychologii. Jest dostarczycielką materiału wybuchowego dla liberalnego konstytucjonalizmu, który nie chce, by państwo i rynek zamieniały korelacje w kajdany.

Warto przy tym uściślić, że pojęcie plastyczności, którym Fine posługuje się implicite przez całą książkę, nie oznacza miękkiego relatywizmu. Plastyczność, czyli zdolność organizmu do zmiany trajektorii rozwojowej i behawioralnej pod wpływem środowiska, to twardy fakt. Nie jest to brak struktury, lecz struktura fascynująco otwarta na modelowanie. Właśnie dlatego tak ważne okazują się badania nad ojcostwem i testosteronem. Głośne badanie podłużne opublikowane w PNAS pokazało, że przejście do ojcostwa wiązało się z wyraźnym spadkiem testosteronu u mężczyzn. Współczesny przegląd z 2024 roku podkreśla zaś złożone związki testosteronu z kojarzeniem i rodzicielstwem, dalekie od prostej opowieści o hormonie dominacji. To wyniki, które z hukiem demolują jeden z najtrwalszych ludowych dogmatów. Dogmat, wedle którego mężczyzna jest biologicznie projektowany przede wszystkim do konkurencji, a nie do opieki. Biologia okazuje się znacznie bardziej subtelna i ironiczna niż jej popularyzatorscy kapłani.

Prawo a rozwój: granice ingerencji w płeć

Jeżeli zatem hormony elastycznie reagują na nasze role, relacje i status, a nie tylko mechanicznie je generują, wówczas mit „Testosterone Rex" ujawnia swój prawdziwy charakter. Nie jest to żadna poważna teoria biologiczna. To raczej teologiczna fantazja o świeckim bożku. Hormon został w tej opowieści obdarzony atrybutami władcy, wszak kultura dominacji uwielbia jednoprzyczynowe wyjaśnienia. Są one politycznie tanie, publicystycznie nośne i moralnie bezproblemowe. Znacznie trudniej przecież przyznać, że agresywne kultury organizacyjne, toksyczne systemy premiowania, selekcja przez wzorce prestiżu oraz dziedziczenie stereotypów wspólnie produkują zachowania, które potem ktoś z rozkoszą przypisuje jednemu steroidowi. Fine bezlitośnie rozbija ten skrót i przywraca odpowiedzialność temu, co społeczne. Jej stanowisko jest przez to intelektualnie bardziej wymagające, ale zarazem cudownie wywrotowe. Skoro bowiem przyczynowość jest rozproszona, nie możemy już udawać, że porządek społeczny to jedynie niewinne lustro natury.

Najmocniej widać to zjawisko w brutalnym świecie gospodarki. Mit „Sióstr Lehman" nie jest wyłącznie nieudanym bon motem ukutym po kryzysie finansowym. Stanowi on symptom głębszej potrzeby kulturowej, aby katastrofy instytucjonalne tłumaczyć wrodzonym charakterem płci, a nie wadliwą konstrukcją systemu. Tymczasem badania nad aktywizacją ról społecznych pokazują dobitnie, że włączenie stereotypowo „męskiej" roli zawodowej zwiększa skłonność do ryzyka finansowego zarówno u kobiet, jak i u mężczyzn. Oznacza to, że zachowania, które elita komentariatu chciałaby przypisać naturalnej męskości, mogą być równie dobrze produktem scenariusza organizacyjnego. Co więcej, badania nad zjawiskiem „szklanego klifu" pokazały, że kobiety częściej bywają wybierane na funkcje przywódcze w warunkach kryzysu. Dzieje się tak wtedy, gdy pozycja jest skrajnie niebezpieczna i obarczona ogromnym ryzykiem porażki. To rzuca

ostre światło na legendę o kobiecie jako „naturalnej naprawczyni" męskich katastrof. Oto stary porządek w nowym przebraniu. Kobiecie wolno wejść na pokład, gdy statek już nabiera wody.

Z punktu widzenia chłodnej ekonomii instytucjonalnej sprawa wydaje się niemal banalna, choć debata publiczna uparcie odmawia jej tej prostoty. Ludzie racjonalnie reagują na bodźce, struktury awansu, rozkład odpowiedzialności i kulturę nagrody. Gdy zyski są prywatne, a straty uspołecznione, apetyt na ryzyko rośnie niezależnie od chromosomu. Gdy organizacja premiuje agresywny styl autoprezentacji i karze ostrożność jako brak przywództwa, zaczyna produkować określony profil zachowań. Gdy reputacyjnie sankcjonuje kobiecą asertywność, a męską brawurę przedstawia jako energię wzrostu, sama koduje różnice, które później jedynie „odkrywa". Fine jest tu zaskakująco bliska najlepszym intuicjom współczesnej ekonomii politycznej. Nie trzeba mistycznego, testosteronowego królestwa, aby wyjaśnić finansową katastrofę. Wystarczy zła architektura odpowiedzialności. To nie jądra napisały struktury bonusów. Zrobiły to instytucje, które następnie próbowały ukryć własne autorstwo za zasłoną biologii.

Recepcja tez Fine w dzisiejszym paradygmacie naukowym wygląda szczególnie interesująco. Jej książka nie została przyjęta jako bezdyskusyjny nowy katechizm i dobrze, że tak się nie stało. Nauka wszak nie działa jak kościół objawień. Debaty wokół mozaikowego modelu mózgu, interpretacji gradientów Batemana czy skali różnic behawioralnych trwają nadal. Niemniej jednak właśnie ta recepcja pokazuje siłę jej interwencji. Nie polega ona na autorytarnym zamknięciu sporu, lecz na przesunięciu jego środka ciężkości. Dzisiejsza dyskusja jest bardziej wyczulona na metodologię, znaczenie kontekstu, błąd publikacyjny oraz wpływ ról społecznych. Zaczynamy dostrzegać niebezpieczeństwo zbyt szybkiego przekładu różnic populacyjnych na twierdzenia o naturze osoby. W biologii ewolucyjnej coraz wyraźniej widać też, że klasyczny paradygmat darwinowsko-batemanowski nie znika, lecz podlega korektom i sporom co do zakresu. To dokładnie ta sytuacja, w której Fine okazuje się nie wichrzycielką bez racji, lecz katalizatorką dojrzalszej nauki.

W tym kontekście pojęcie „ewolucyjnej przyszłości" nabiera sensu innego niż w banalnych narracjach o wiecznym powrocie natury. Przyszłość nie jest bowiem prostym odtwarzaniem plejstoceńskich scenariuszy, lecz rezultatem złożonej interakcji. Zachodzi ona między plastycznym organizmem a środowiskiem społecznym, które sam gatunek wytwarza. Człowiek jest zwierzęciem, które buduje własne nisze rozwojowe, a następnie wychowuje w nich kolejne pokolenia. Jeżeli tak, to pytanie o płeć nie może dotyczyć jedynie tego, co ewolucja zrobiła z nami w przeszłości. Musi dotyczyć także tego, jakie środowiska selekcyjne i rozwojowe dziś produkujemy. Fine mówi w gruncie rzeczy coś bardzo głębokiego: historia gatunku dała nam nie tylko pewne predyspozycje, lecz także wyjątkową plastyczność. Dzięki niej porządek społeczny nie musi być niewolnikiem dawnych wzorców. To dlatego jej przesłanie jest zarazem naukowe i polityczne. Ewolucja nie

zwalnia nas z odpowiedzialności za kulturę. Przeciwnie, czyni tę odpowiedzialność jeszcze bardziej realną.

Niezwykle ważny pozostaje wątek dzieci jako „detektywów płci". Ta formuła nie jest jedynie efektownym sloganem. Jest trafną diagnozą mechanizmu autosocjalizacji, w którym dziecko aktywnie wychwytuje społeczne mapy znaczeń. Dostosowuje się do nich, zanim jeszcze zdoła je krytycznie zakwestionować. Z perspektywy antropologii oznacza to, że kultura nie działa wyłącznie przez nakaz bezpośredni, lecz także przez subtelne kodowanie aspiracji, lęków i reputacji. Z perspektywy ekonomii oznacza to marnotrawstwo talentu na ogromną skalę, ponieważ społeczeństwo zbyt wcześnie dzieli możliwe ścieżki samorealizacji. Z perspektywy prawa oznacza to zaś, że neutralność deklaratywna nie wystarcza. Nie działa tam, gdzie architektura codzienności od najwcześniejszych lat projektuje nierówny koszt przekraczania roli. Fine ma rację, gdy sugeruje, że przyszłości nie zmieni się samą kaznodziejską deklaracją równości. Trzeba przebudować układ rozwojowy, a więc samą infrastrukturę reprodukowania oczekiwań.

Dotykamy sprawy, która dla wyrobionego czytelnika biznesowego i akademickiego powinna być szczególnie drażniąca. Stereotyp płci nie jest jedynie wulgarnością obyczajową. Jest technologią złej alokacji zasobów ludzkich. Gdy gospodarka przypisuje kompetencję do płciowego kostiumu, niszczy własną efektywność. Gdy organizacja utożsamia przywództwo z jednym stylem ekspansji, ogranicza własne pole adaptacji. Gdy instytucja naukowa albo korporacyjna udaje, że różne trajektorie kariery wynikają po prostu z natury, przestaje widzieć własne mechanizmy selekcji i odpadu. W świecie rosnącej złożoności jest to nie tylko błąd moralny, lecz także błąd strategiczny. Fine nie proponuje więc wyłącznie obrony równości jako wartości. Proponuje również obronę cywilizacyjnej inteligencji systemu. System głupi to taki, który swoją własną dyskryminację nazywa realizmem biologicznym.

Szczególnie aktualne staje się ostrzeżenie dotyczące technologii. W miarę jak zarządzanie personelem, oceną ryzyka i decyzjami kredytowymi przechodzi w ręce systemów algorytmicznych, biologiczny esencjalizm może powrócić. Nie jako publicystyczny banał, lecz jako ukryta matryca danych. Badania nad równością płci w zatrudnieniu i nad algorytmicznym uprzedzeniem wskazują na realne zagrożenie. Systemy mające niwelować ludzkie stereotypy mogą je również utrwalać, jeśli uczą się na danych nasyconych wcześniejszą dyskryminacją. Wtedy mit nie znika. Zostaje po prostu zautomatyzowany. Dawniej stereotyp miał twarz menedżera albo rekrutera. Dziś może mieć interfejs i wykres pewności predykcji. Dlatego obrona Fine jest zadaniem także na przyszłość cyfrową. Trzeba stale pilnować, by różnice populacyjne, korelacje i historyczne zniekształcenia nie były przetwarzane w cichy system przypisywania natury jednostce.

Warto wreszcie wrócić do sygnału z Fundacji Dobre Państwo. Na jej stronie znalazłem świeży tekst o nowej prawicy, w którym „prawda" przedstawiona jest jako element politycznego ekosystemu bodźców i narzędzi perswazji. To istotne, bo pokazuje, że także w polskim obiegu idei spór o naturę, prawdę i porządek społeczny zmienia dziś swój wektor. Przesuwa się z poziomu abstrakcji na poziom walki o instytucjonalny język rzeczywistości. W tym pejzażu Fine okazuje się sojuszniczką krytycznego rozsądku. Jej projekt polega na tym, by słowo „natura" nie zostało przejęte przez doktrynę. Doktrynę, która z każdej średniej chce zrobić normę, a z każdej normy obowiązek polityczny. To właśnie dlatego jej książka pozostaje ważna nie tylko dla psychologii płci, ale dla całej kultury demokratycznej.

Trzeba więc zakończyć bez uników. Płeć biologiczna jest rzeczywista. Testosteron jest rzeczywisty. Dobór płciowy jest rzeczywisty. Różnice statystyczne między populacjami także bywają rzeczywiste. Lecz równie rzeczywiste są plastyczność rozwoju, wpływ środowiska, aktywna rola socjalizacji, mozaikowa organizacja cech, zmienność strategii reprodukcyjnych oraz instytucjonalna produkcja nierówności. Kto widzi tylko pierwszy zestaw faktów, nie jest realistą, lecz połowicznym metafizykiem. To najstarszy trik dominacji. Najpierw stwórz hierarchię. Potem ogłoś, że była od zawsze. Wreszcie nazwij ją biologią. Kto z biologii czyni notariusza hierarchii, uprawia nie naukę, lecz estetyzowaną apologetykę porządku zastanego. Największa zasługa Cordelii Fine polega na tym, że każe odrzucić ten intelektualny szantaż. Nie mówi, iż ciało nie ma znaczenia. Mówi coś dojrzalszego. Ciało ma znaczenie, ale nie ma monopolu na sens. A skoro tak, to przyszłość społeczna nie jest wyrokiem natury. Jest zadaniem rozumu, prawa, instytucji i odwagi politycznej. „Testosterone Rex wyginął" nie jest więc tylko efektownym hasłem. Jest wezwaniem, by przestać mylić biologię z losem i stereotyp z wiedzą.

Płeć w pracy: ekonomiczne koszty segregacji

W brukselskich ławach Parlamentu Europejskiego zasiada dziś osiem głównych grup politycznych, a obok nich posłowie niezrzeszeni. Kiedy w debacie pada hasło o „partiach w Parlamencie UE", mowa o tych właśnie rodzinach, bo to one trzymają batutę, nadając ton i podkręcając temperaturę sporów. Gdybyśmy spróbowali streścić ich stanowiska wobec płci w formie żartobliwego spektaklu, nie zagościłaby tu sucha debata, lecz europejska opera buffa. Jedni śpiewają arię o równości, drudzy intonują kantatę o rodzinie, trzeci deklamują hymn o wolności jednostki, a czwarta frakcja maszeruje w rytm werbli suwerenności. Piąta z kolei próbuje dowieść, że istnienie komisji FEMM to pierwszy krok do upadku cywilizacji łacińskiej. W tym gmachu nikt nie mówi po prostu „mamy taki program", ponieważ wszyscy wolą brzmieć jak objawienie dziejów, co na tle unijnej technokracji bywa wręcz odświeżające.

Przyjrzyjmy się najpierw umiarkowanie eleganckiemu centrum, czyli Europejskiej Partii Ludowej. EPP z zasady nie opowiada o płci językiem rewolucji, preferując raczej stonowany język doskonale skrojonej marynarki. Ich ton brzmi mniej więcej tak: równość popieramy, ale bez brutalnego rozszarpywania tkanki społecznej; prawa kobiet tak, ale z zachowaniem rodzinnego dekorum. Nowoczesność jest mile widziana pod warunkiem, że najpierw umyje ręce i przywita się z chrześcijańską demokracją. W ich manifeście na 2024 rok pobrzmiewa typowy dla centroprawicy odruch równowagi: społeczna gospodarka rynkowa, odpowiedzialność, budowanie mostów zamiast barykad. Gdyby trzeba było ukuć dla nich złośliwy bon mot, brzmiałby on: „Równość to wspaniała idea, pod warunkiem, że trzymamy ją w dobrze zarządzanym segregatorze".

Socjaliści i Demokraci odgrywają w tej sztuce zupełnie inną rolę. To partia, która w sprawach płci nie chodzi na palcach, lecz wchodzi przez frontowe drzwi. Ich oficjalne dokumenty głoszą wprost, że nie pozwolą na podważanie równości płci czy praw kobiet. W deklaracjach z sojusznikami bez wahania ustawiają gender equality obok praworządności i praw podstawowych. Ich styl to nie asekuracyjne „zobaczymy, co się da zrobić", lecz bojowe „widzimy backlash i zamierzamy z nim walczyć". Gdybyśmy mieli przełożyć to na satyryczny slogan, S&D krzyczałoby: „Równość nie jest dodatkiem do Europy. Równość jest instrukcją obsługi Europy!". To ugrupowanie z satysfakcją odgrywa rolę parlamentarnego komitetu naprawy dziejów. I robi to bez cienia zażenowania.

Renew Europe to z kolei liberalny kuzyn, który na rodzinnych zjazdach opowiada o wolności i innowacjach, a przy okazji wręcza dyrektywę o większej reprezentacji kobiet w zarządach. W ich narracji równość płci ma nie tylko wymiar moralny, lecz także potężny wymiar rynkowy. Ich logika nie opiera się na sentymentalnym „wszyscy są równi, bo tak wypada", lecz na chłodnej kalkulacji: „marnowanie połowy talentu jest po prostu gospodarczą głupotą". Ich dowcipny autoportret mógłby brzmieć: „Szklany sufit? Bardzo przepraszamy, właśnie wysyłamy ekipę remontową". To europejski liberalizm w wersji, która wierzy, że emancypacja może iść pod rękę z zarządzaniem i corporate governance. Z pawia robi się wtedy maklera, z plemnika prezesa, a z gamety ustawę kadrową, byle tylko słupki w tabeli wyników świeciły się na zielono.

Zieloni i Wolny Sojusz Europejski wkraczają na scenę z energią kogoś, kto nie przyszedł poprawiać zasłon, ale zamierza przebudować cały dom. Ich manifesty roztaczają wizję Europy praw i wolności, opowiadając o przyszłości wyraźnie feministycznej i antyrasistowskiej. Marzą o świecie wolnym od seksizmu i queerfobii, żądając pełnego prawa do samostanowienia i cielesnej autonomii. Gdyby dać im mikrofon i odrobinę kabaretowej przesady, wykrzyczeliby: „Nie pytajcie, czy gender jest częścią polityki. Zapytajcie raczej, czemu polityka tak długo udawała, że bez gender da się opisać rzeczywistość!". W tym chórze Zieloni są głosem, który z największą furią odrzuca półśrodki. Kiedy

inni proponują „ostrożną korektę”, oni odpowiadają twardo: „prawa podstawowe albo dekoracja z demokracji”.

The Left, czyli lewica parlamentarna, idzie w diagnozach jeszcze dalej, a w jej autocharakterystyce feminizm nie jest zaledwie jednym z tematów, lecz absolutnym filarem tożsamości. Na oficjalnej stronie grupa deklaruje, że stoi po stronie feminizmu, praw człowieka, równości i solidarności. Innymi słowy, nie pyta, czy płeć jest ważna, tylko dlaczego kapitalizm, praca czy mieszkalnictwo miałyby być kiedykolwiek omawiane bez płci. To najstarszy trik dominacji: najpierw stwórz hierarchię, potem ogłoś, że była od zawsze, a wreszcie nazwij ją biologią. Ich bon mot mógłby zatem brzmieć: „Jeśli system twierdzi, że jest neutralny, to najpierw sprawdź, komu gotuje obiad za darmo”. To już nie jest liberalna opowieść o awansie kobiet do zarządów, lecz potężna próba wpisania problemu płci w całą anatomię władzy i redystrybucji.

Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy (ECR) przyjmują w sprawach płci ton, który można streścić krótko: „tak dla kobiet, nie dla brukselskiego pedagogicznego megafonu”. Na ich stronie znajdziemy akcent na ochronę kobiet przed przemocą, wsparcie dla macierzyństwa oraz pochwałę kobiecej przedsiębiorczości. Wszystko to spina jednak zasada, że to państwa członkowskie powinny same projektować polityki rodzinne, bez nadmiaru regulacji i sankcji z poziomu UE. Mówiąc żartobliwie, ich hasło brzmi: „Kobiety trzeba wspierać, ale najlepiej tak, żeby Bruksela nie zaczęła z tego robić religii obywatelskiej”. To konserwatyzm, który pragnie uchodzić za protekcyjny, pragmatyczny i antybiurokratyczny zarazem. Czyli nie tyle „nie” dla praw kobiet, ile raczej „proszę nie wpisywać tego od razu do tysiąca stron rozporządzenia”.

Patriots for Europe stanowią przypadek o wiele ciekawszy, ponieważ ich oficjalne materiały znacznie mocniej eksponują suwerenność narodową i twardą politykę graniczną niż rozbudowany program dotyczący płci. W dokumentach założycielskich dominują hasła o odbudowie kompetencji państw narodowych i oporze wobec federalizmu. W publicznym sporze o kwestie płci ten obóz zazwyczaj występuje jako strona sceptyczna wobec progresywnej agendy genderowej, ale jego oficjalny przekaz jest tu słabiej rozwinięty niż u ECR. Najuczciwszy żartobliwy slogan brzmiałby więc: „Najpierw suwerenność, potem cała reszta, a jeśli reszta brzmi jak gender studies, to tym bardziej najpierw suwerenność”. To polityka, która lubi, gdy płeć jest opowiadana językiem natury, wspólnoty i tradycji, najchętniej zamykając to wszystko w opowieści o narodzie.

Europe of Sovereign Nations (ESN) nie bawi się już w żadne subtelności. Na swojej stronie piszą wprost o ochronie tradycyjnych wartości rodzinnych, o rodzinie złożonej z ojca, matki i dzieci oraz o sprzeciwie wobec wdrażania agend LGBTQ jako zasady przewodniej dla przyszłych pokoleń. To już nie jest konserwatywna aluzja, tylko transparent rozwinięty na pełnej długości. Ich bon mot nie wymaga nawet większej stylizacji: „Europa tak, ale tylko taka, która najpierw policzy ojca, matkę i

dzieci, a potem sprawdzi, czy nikt nie przyniósł za dużo różnorodności". Z gonad robi się proroctwo, a ESN brzmi tu jak głos, który uważa, że nowoczesność należy dopuścić do głosu wyłącznie po dokładnym przeszukaniu bagażu.

A potem zostają jeszcze niezrzeszeni, czyli polityczny odpowiednik stolika, przy którym każdy przyniósł własną tezę metafizyczną, ale nikt nie ma wspólnej ulotki. Gdy spojrzeć na to wszystko razem, widać wyraźnie, że spór o płeć w Parlamencie Europejskim nie przebiega po jednej osi, lecz stanowi plątaninę nakładających się na siebie konfliktów. Jeden dotyczy tego, czy płeć jest przede wszystkim kategorią praw podstawowych, drugi – czy jest częścią rynku pracy, a trzeci – czy pozostaje nierozerwalnie zakorzeniona w tradycyjnej rodzinie. Kolejny spór pyta, czy w ogóle należy ją opisywać językiem emancypacji, czy raczej językiem natury, suwerenności i kulturowych granic. Jedni mówią więc: „równość albo regres", inni: „wolność i awans", jeszcze inni: „rodzina i subsydiarność", a ci najbardziej wojowniczy: „cywilizacja albo ideologia". W rezultacie Parlament Europejski przypomina niekiedy seminarium filozoficzne prowadzone jednocześnie przez prawniczkę praw człowieka, konsultanta od ESG, konserwatywnego proboszcza, nacjonalistycznego strażnika granicznego i feministkę z megafonem.

I być może właśnie to jest w tym wszystkim najzabawniejsze. Unia Europejska uchodzi za machinę od norm technicznych, etykiet serów i promieni skrętu ogórka, a tymczasem w sprawach płci potrafi zamienić się w kontynentalny teatr idei, gdzie każdy obóz mówi tonem ostatecznym. Jedni zachowują się tak, jakby bez ich rezolucji runęły prawa człowieka. Drudzy tak, jakby po jednej konferencji o równości miała upaść cywilizacja europejska. Trzeci wierzą, że wystarczy lepiej zaprojektować zarządy spółek, aby historia stała się bardziej racjonalna. Czwarta grupa sądzi, że wszystko rozwiąże powrót do rodziny, bronionej jak twierdza. A obywatel patrzy na to wszystko i myśli, że płeć w Europie nie jest już kategorią biologiczną ani społeczną. Jest po prostu kategorią parlamentarnie operetkową.

Polityk obieca. Polityk wykorzysta. Polityk oszuka. Polityk porzuci. Zapraszamy uprzejmie. Cordelia Fine „Testosterone Rex"

> Czy w świecie, w którym coraz częściej oddajemy nasze wybory w ręce algorytmów, nie ryzykujemy powrotu dawnych uprzedzeń w nowym, cyfrowym przebraniu? Jeśli biologia stanie się tylko wygodnym kodem dla systemów predykcyjnych, czy nie okaże się, że najskuteczniejszym narzędziem dominacji jest właśnie nasza wiara w jej niezmienność? Prawdziwym wyzwaniem nie jest więc odkrycie „natury" płci, lecz zrozumienie, dlaczego tak rozpaczliwie potrzebujemy mitu, by uciec przed ciężarem własnej wolności.

Inspiracje

[1] **"Testosterone Rex"** Cordelia Fine

2017 | W.W. Norton & Company

Cordelia Fine jest profesorką historii i filozofii nauki na Uniwersytecie w Melbourne. Jako psycholog i pisarka, znana jest z badań nad poznaniem społecznym, neuronauką i stereotypami płciowymi. Wśród jej uznanych przez krytyków książek znajdują się „Delusions of Gender" i „Testosterone Rex", z których ta druga zdobyła w 2017 roku nagrodę Royal Society Science Book Prize. Jest wybitną intelektualistką, znaną z podważania błędnych przekonań na temat płci, ewolucji i mózgu.

***Cordelia Fine** is a Professor in the History and Philosophy of Science at the University of Melbourne. A psychologist and writer, she is renowned for her research on social cognition, neuroscience, and gender stereotypes. Her critically acclaimed books include 'Delusions of Gender' and 'Testosterone Rex', the latter of which won the 2017 Royal Society Science Book Prize. She is a prominent public intellectual known for challenging misconceptions about gender, evolution, and the brain.*

University of Melbourne

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: c5828bdc-b1b9-4458-b0df-1a2cd78a191b